



## Piotr Juralewicz

## część I z II

Sygnatura notacji: **N0819**

Data urodzenia: **28.05.1920 r.**

Data nagrania: **21.05.2014 r.**

Miejsce nagrania: **dom świadka, Biskupiec, Polska**

Prowadząca/y rozmowę: **Tomasz Sudoł, Maciej Foks**

Czas nagrania: **część I: 75 min, część II: 52 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



## TRANSKRYPCJA



INSTYTUT  
PAMIĘCI  
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

**Piotr Juralewicz:** Urodziłem się 28 maja 1920 roku w Marcinkańcach, powiat Grodno. Tam szkołę techniczną ukończyłem w Wilnie. W Wilnie wybuchła wojna, przyszli do nas Rosjanie. Brat mój był na froncie, przyszedł z frontu, przenocował tylko jedną noc, wpadło NKWD, zabrało go. Ojciec zapytał: „Za co? Po co?” „Prekратиł sowiecko-giermansko granicu”. Ojciec mój nawet nie wiedząc o tej granicy, „Kakaju granicu?” „Ribbentrop-Mołotow”, Brata zabrali i osadzili go w Grodnie na osiem lat gułagu, zabrali. Po aresztowaniu brata, po zabraniu, w nocy NKWD dostukało się do naszego mieszkania i to z hukiem, kolbami karabinów. Wpadli, zapytali: „Imię i nazwisko”. Ja byłem tylko z matką, i z ojcem, a siostra w międzyczasie wyjechała z żołnierzem, który służył tam w korpusie ochrony pogranicza. Wyjechała pod Kraków. A nas wywieźli na Syberię. Do północnego Kazachstanu. Tam dowiedzieliśmy się, że brat jest na dalekiej północy, bo do Marcinkańców napisał, tam ktoś list otrzymał z krewnych, tam nie było żadnego połączenia, tylko zimą po lodzie, a w lecie po wodzie. Na daleką północ. Zapomniałem już jak to się nazywało. I tam w łagrze brat pracował. Ciężko mu tam było, ale w końcu z Marcinkańców podali mu wiadomość o mnie, o ojcu i matce, podali adres na Syberii. To była siewierokazachstańska obłaść, rejon Kielerówka, a wieś Rozowka. Dziwiliśmy się, dlaczego te Rozowka, dlaczego Kielerowka. Bo tam byli sami Niemcy z „Powolzia” i tacy nieufni dla Rosjan. A z innych to było trochę Kazachów, trochę było Polaków i sporo było Ukraińców. Ukraińców z Ukrainy przesiedlonych, deportowanych z Kazachami było trudno się porozumieć, bo oni słabo znali język rosyjski, ale można było się porozumieć. Ja się przyjaźniłem z jednym Kazachem i on mnie potajemnie zaopatrywał w kobyłe mleko. Tak zwane kumys. To mi pomagało. Bo z wyżywieniem tam było bardzo ciężko. Dla przykładu podam, że po dwóch latach stawałem na komisję poborową, na wezwanie do armii generała Sikorskiego i ważyłem tylko 40 kilo. Ale ten kumys mnie pomagał. Matka moja nie mogła go używać. Ja codziennie dostawałem taką niedużą buteleczkę tego kobyłego mleka,

tak zwany kumys wypijałem. A za to musiałem dać jakiś frak, nie pamiętam co, ale jakieś coś z ubrania dla tego Kazacha. Bo tam coś kupić z ubrania na Syberii, to było tylko marzenie. Tak samo z zaopatrzeniem, jak tam ludzie mieli. To był kołchoz niemiecki pod nazwą „Neues Leben” w tej wiosce Rozowka. Niemcy tam uprawiali ziemię i hodowlę koni mieli dla Armii Czerwonej. Ale im płacili dniówkami. Z całego roku liczyli dniówki, tak zwany „trudodzień” i potem przeliczali za te trudodni, ile ziarna dostaną, ile czegoś innego jeszcze dostali. I takiemu kołchoźnikowi wolno było trzymać krowę, ale cielaki musiał oddawać. Także jak krowa upadła czy coś, to trzeba było ją dobić, to dostawał na nowo krowę. I tylko to było ich utrzymanie. Był sklepik, to tam zawsze stan był towarów na zero. Bo zamawiali, telefonowali z Pietropawłowska, że sklepowa ma przyjechać do rejonu, do Kielerowki i tam będzie przydział towaru. To ile ludzi było w tej Rozowce, to oni liczyli. Aha, tyle cukru, tyle innych rzeczy i tak dalej, i tak dalej. Także nie raz jak przyszło do podziału, to oni wazyli pudełeczkiem od zapatek, cukier na przykład. Tam takie zaopatrzenie było. I przywieźli ten towar, kolejka stała i sklepowa rozdzieliła to wszystko, i sklep został pusty. I myśmy tylko stali raz z jednym Niemcem. On się nazywał Robert... Cholera. Robert, już nazwiska nie pamiętam. Całą noc w zimie na dużym mrozie, w kolejce, żeby dostać, dowiedzieliśmy się, że coś z tytoniu będzie. Staliśmy całą noc w kolejce i tytoniu zabrakło. I darmo myśmy stali. Tak dla przykładu podam, jak tam ciężko było coś kupić. Były takie dni, chleb oni tam sami wypiekali. Sami mąkę robili na kamieniach takich, na żarnach. I tam tylko pszenicę uprawiali. I wypiekali z tego chleb. Do jedzenia był możliwy, jak nie było lepszego, ale było czasami i tak, że nie było z czego wypiec tego chleba. Ja się dostałem tam do rejonu, do Kielerowki, do pracy. A mój ojciec tu w kołchozie im tam robił różne rzeczy, bo ojciec to był taka złota rączka. Wszystkie rzemieślnicze tam rzeczy potrafił robić. A ja dostałem się do pracy na budowę szkoły tam. To dostawałem ruble. Ale czasami nie było co kupić za te ruble. Było i tak, że dwa dni trzeba było kombinować, żeby gdzieś kawałek chleba dostać. I najlepszy przykład tego, że stawałem 20-paroletni, jestem 1920 rocznik, w 1942 roku 22 lata, na komisję wojskową, to wazyłem tylko 40 kilo. Takie było odżywienie. Wszystkie zęby się ruszały, wypadły i tak. Ale zdobyłem się na mowę, namówił mnie ten Robert, Niemiec, nawet nie wiedziałem, że to możliwe będzie. Mówi: „Piotr, będziemy mieli chleba, ile tylko damy radę zjeść. Ja przyjdę do ciebie wieczorem i tylko ty pomożesz mnie”. Ja mówię: „No, dobrze”. Okazało się, że tam oni po przesianiu odstawiali pszenicę dla państwa. I na rampach były ustawione worki z pszenicą. To były długie jak na paręset metrów. I chodził z karabinem człowiek tam, pilnował, żeby nikt tam jakiegoś worka nie ukradł. A on mówi tak, a była zawierucha i on mówi tak: „Jak on przejdzie tam dalej, za zawieruchą nie będzie nic tu widział, to my podlecimy i z brzegu weźmiemy worek, matka moja otworzy okno i worek wrzucimy do chatupy, z pszenicą”. I tak myśmy parę worków tej pszenicy ukradli. Ale tam było schowane mocno, cholera, po tym, bo robili rewizję i coś, czegoś szukali. I na kamiennym młynku mieliśmy tę pszenicę i tak wypiekaliśmy chleb. Z początku nas jak tam przywieźli, to postawili na stepie do budowy takich szałasów. Niby takie domy mieszkalne. Robiliśmy tak zwany saman. To znaczy tam ziemia była taka, że po jednym sztychu łopaty była taka glina. Trzeba było ją kopać, wodą polewać, słomą posypywać, deptać nogami. formy układać, to na słońcu wysychało i były 50 na 80 takie cegły, i z tego budować tego. I powiedzieli, zawieźli nas na step i powiedzieli: „Tu budzicie żyć i tu budzicie pamierać”. O, tak nam powiedzieli. No, charaszo. Deptaliśmy tę słomę, robiliśmy ten saman, ale nie widzą, że nic z tego nie wychodzi i dali przykaz tym kołchoźnikom tam, Niemcom, Ukraińcom, tam innym, żeby po jednej rodzinie przyjęli tych zesłańców z Polski. I myśmy trafili do takiej rodziny niemieckiej, gdzie on był Polak, ona Niemka i dwoje dzieci mieli, a jego za coś aresztowali. Siedział w więzieniu. Tam za byle co można było siedzieć w więzieniu. Mieszkaliśmy tam u nich. I ja byłem dla tej kobiety pomocną ręką, bo w zimie było ciężko przetrwać, bo były tak zwane te burany, które zasypywały te domki, że trzeba było na dach włązić i ko-

miny oczyszczać, bo inaczej nie można było palić. Żadnego opatu nie mieli, tylko to, co w lecie z zielska nabrali, suszyli i te odpady gnojne zwierzęce, suszone na słońcu, to oni całe lato pracowali nad tym, żeby to zdobyć, nasuszyć, żeby mieć na zimę opał. Kuchnie w tych domkach ich to wyglądały tak, że miały tylko gliniane podstawy, takie okienka i garnki tam się wstawiało, nie było żadnych fajerek i jak gotowali jedzenie, to jeden musiał siedzieć, miał ten opał tutaj z tego gnoju i słomy, i ciągle podkładał, jedno się spalało, drugie podkładał i na tym się gotowało obiady. Tak mieli gotowane. Domki były budowane tak, że podłogi nie było. Tylko ubita glina, a jedyny środek konserwacyjny, to był świeży nawóz krwi rozprowadzony wodą i wymalowane to, i nawet niezły zapach był od tego. I to była konserwacja podłogi. Sufitów nie było, tylko żerdzie takie, słomą obłożone i gliną zalepione, i to był domek. A okienka to były najwyżej takie 40 na 50. Okna takie były. Drzwi otwierane do środka, bo nieraz ten buran zawalił całe drzwi i trudno było je otworzyć. Trzeba było tunelem śnieżnym wychodzić i od drzwi śnieg odwalić, żeby z chaty wyjść. Tak ludzie mieszkali. Takie były warunki. Zabrali nas do siebie, to nie powiem, ludzie byli tam przyjaźni. Dzielili się tym, co mieli, a nasi jeszcze mieli tam ze sobą trochę garderoby, to tam to chusteczkę dał, to to, to śmo, bo tam nic nie było z ubrań do kupienia. Nic. Absolutnie. Jak ktoś miał nową czapkę, to musiał uważać, bo on za tą czapkę mógł być zabity nawet. „W szapku imień nut i gdzie że ona, ubit panimajesz. No nowuju szapku kupił”. I tego, takie gadania były. Trzeba było bardzo uważać.

### **A jak się pan dowiedział, jak powstała, zaczęła się tworzyć Armia Polska w Rosji, jak...**

**Piotr Juralewicz:** Więc tak, raptem... Wyszła gazeta „Izwestia”. „Izwestia” i ruski jeden przyszedł do mnie, i mówi: „Smatri budiet formirowana polskaja armia”. Ja czytam po tego, tak, że generał Sikorski zawarł porozumienie ze Stalinem, że będzie się formować polska armia. I każdy z tego dostanie kartę powołania. I z wojenkomatu dostałem kartę powołania. Miesiąc luty, 1942 rok. Cholera, mróz 40 stopni, a ja miałem... pracowałem tak dorywczo, już nie miałem butów, to miałem ze starych worków pocięte szmaty, namoczone i nogi okręcone, jedna sucha, druga mokra, na mrozie to zamarzło i to były buty moje. I tak w tych mam jechać do Nowosybirsk na komisję wojskową. Mam ten dokument wezwany, wszystko przez wojenkomat. A pociągi żadne nie chodziły. Tylko czasami towarowy jakiś chodził. I jeden kołchoźnik tam mi opowiedział, mówi: „Piotr, zawtra odchodit pojazd” na Omsk czy tam gdzieś. Nie pamiętam dokładnie. A on wiedział, że ja dostałem kartę powołania. To poszedłem, rzeczywiście jest pociąg, ale 40 stopni mrozu. Co ja mam robić, cholera, nie wytrzymam w tym ubraniu. Poszedłem do parowozu i tak stoję, a patrzę, że on tam je śledzia takiego, bo po szkielecie poznałem. Jak oni jedli śledzia, wyjął, taką ściągnął i tak tego słonego jadł, z parowozu wziął sobie wody nalał i tak tym popijał. I on: „A ty cziewo”, ja mówię: „Dziadzia, ja jedu...”, powiedziałem: „Jadę na komisję wojskową”. A on mówi: „Nie kłam, nie kłam”. „nie breszi nie breszi, u nas w armiu eto wriemia nie birut”. Ja mówię: „No, u mienia na dokument”. „No, pokażi”. Pokazałem mu te dokument, „No distwitielna szto eto budiet szto eto takoje”. On nie wiedział, że do polskiej armii jadę. Wziął mnie do parowozu i tak dojechałem do Nowosybirsk. Przyjeżdżam do Nowosybirsk, mróz, cholera, trzyma, ja głodny jestem jak piorun. Tam jakiegoś suchara z sobą miałem, a u nich na każdej stacji to był taki kran i pisało „kipiatok”, to znaczy gotowana woda. I tam jak gdzieś się jechało, trzeba było mieć jakąś bankę po konserwach czy coś, żeby tego kipiatoku nalać, żeby można było popić. Wlazłem na ten parowóz, mnie ślina leci, a on je i tak dalej. Myślę sobie: „Może się zlituje, domysli i da mi kawałek tego śledzia”, ale nie dał. Pal sześć. Dojechałem. Tam przyjechałem, patrzę, Żyd jeden na dworcu w specjalnym pomieszczeniu eleganckim, jak restauracja, po polsku rozmawia, ma produkty już angielskie i australijskie,

tego, ale my jeszcze tylko zobaczyliśmy to. Ale poszliśmy tam na komisję. Patrzą, siedzi żołnierz, mundur niepolski, patrzy, pisze na tym „Poland”, a to lekarz był polski. Ale obsada, dwie pielęgniarki w białych fartuchach i jeden lekarz ruski. I kazali się rozebrać, namazali mnie tutaj watą na tym i napisali tam znaki zdrowotne jakieś tam. Waga, tam wzrost, tam coś, zęby, wsio, tego. I ubraliśmy się, i zaraz w pociąg. Już wtedy osobowe były wagony. W pociąg i naprawdę nie wiem gdzie nawet jadę. Aha, dali nam kawałek ryby treski. Tak zwana ryba treska, suszona, żółta, cholera, taka bez smaku, ale trochę tłusta była. To dali nam po kawałku tej ryby, dali po dwa sucharki i nie pamiętam jeszcze dokładnie... Aha, dali nam tę taką menażkę na drucie, innym doczepioną. Ja mówię: „A to na co?”, mów: „Na kipiatok”. W ten czas się dowiedziałem, że na każdej stacji jest kipiatok, woda gotowana. I spotkałem tam jeszcze paru Polaków, i usiedliśmy, i jedziemy do wojska. Się zdziwiłem, że tam najgorsza była walka z wszami, cholera. Tam jedynie pozbycie wszów, to trzeba było ubranie całe nawet, w lecie to było do wiadra z wodą, zagotować i wysuszyć potem, i ubrać. I na tego nie można było pobrać. Patrzą, posiedziałem w tym przedziale, a u mnie po rękę wesz chodzą, cholera. Też zawieszony wagony były. Pasażerów innych nie było, tylko nie wiem, kto tam był, tam nie można było patrzeć. W sąsiedztwie tylko siedzieć tym przedziale. Przyjechaliśmy pod chińską granicę do stacji Ługowoję. Pod chińską granicą. I tam się formowała...

## 10. Dywizja?

**Piotr Juralewicz:** 10. Dywizja. Tak. 10. Dywizja i ja, ponieważ pracowałem tam trochę, to mnie wzięli do 10. Dywizji do saperów. Ale tam już była kuchnia i produkt dostawaliśmy, z Iranu dostawaliśmy ryż, a ruskie dawali jednego barana na batalion. Także tego barana nie znajdowali skóry, tylko smalili na ogniu, rąbali na drobne cząsteczki i gotowali zupę na tym. O, jaka smaczna była, cholera. I to się jadło. Ale potem coraz więcej prowiantu, coraz więcej prowiantu. Siedzimy w tym Ługowoj, w dzień +10 temperatura, a w nocy -20. Mamy w namiotach. Ale już z Murmańska okręty polskie przywozły angielskie mundury. I od skarpet po głowę wszystko setka wełna. I skarpetki, i kalosony, i koszula, podkoszulka, mundur, wszystko. I po dwa koce wełniane. I nocowaliśmy w tych namiotach tam w wojsku, a nie było ani sienników, ani cholery. Poszliśmy na step i tych chrustów takich miękkich, nawet słomy nie było gdzie wziąć, cholera, i trawy. To myśmy z chrustu zrobili takie łoża i zastaliśmy czymś, i spaliliśmy w ubraniu, i w płaszczach, i koc jeden się kładło na ten chrust i tak myśmy spali. Oczywiście rano pobudka, śniadanie, wsio, jest, cholera, kawa. Już to dla nas raj, bo jaka była, taka była, ale już można było coś pojeść w tym wojsku. Już dawali tam. Dowiedzieliśmy się, że Sikorski od Stalina dostał jakiś tam w kredycie prowiant i wojsko dostawało. Bo ich wojsko też tak marnie jadło. I czekamy tam w tym, wychodzimy na ćwiczenia, broni jeszcze nie mamy, ale dowiedzieliśmy się, że w tym, cholera, jak to się nazywało, w jednym... Dalej od nas, ale bardziej na Ukrainę tam. Jak to się nazywała miejscowość? Tam dywizja się formowała. Polska dywizja. To tam i żeńskie oddziały formowały się, i męskie. Tam oni mieli już dobry prowiant i dobre jedzenie, a my jeszcze takie marne. I raptem w nocy alarm, wstaliśmy i wymarsz. Nie wiemy, gdzie, co, jak. Idziemy. Po księżycu orientujemy się mniej więcej w jakim kierunku idziemy. I doszliśmy do torów kolejowych, stoją wagony, załadowali nas w te wagony towarowe i jedziemy. Przywieźli nas do Krasnowodska nad Morze Kaspijskie i załadowali na okręt. To znaczy mój batalion był załadowany na okręt, który wrócił z Persji, z Iranu, ale dół był nie do zamieszkania. Tylko na górze. To siedzieliśmy tak jeden przy drugim. Ten siedział podkurczony, że moje kolana o jego plecy dotykały, tak, żeby jak najwięcej zabrać tych ludzi. Dobililiśmy do portu Pachlawii w Persji. Trochę jak statek się zatrzymał, zaczęli żołnierze wyskakiwać z okrętu, płynąc, ci, co mieli siły jesz-

cze, bo nie wierzyli, cholera, że my z tego piekła się wyrwiemy. Ale wyłapali ich i tak dalej, bo byli tacy, że trzeba było wynieść i trzeba było takich, że pomóc im wyleźć, tak osłabieni byli. Ja na szczęście jeszcze o własnych siłach tam przy małej podpórcie wylazłem z tego. Ciepło już było tam, zaprowadzili nas do takiego obozu, rozebrali do naga, patrzą, angielski żołnierz, Irańczycy, ludzie prywatni obsługiwali ten obóz cały, rozebrali nas do naga, ogolili do naga i przez takie namioty przeszliśmy taką dezynfekcję. Wchodziło się do tego, okulary nam takie dali albo niektórym kazali oczy zamknąć, to taki prysznic ze wszystkich stron, ciepła, pachnąca woda. Potem następne namioty osuszane były, osuszyli nas i potem sznur stał żołnierzy, ale nie wiem już jaki. Nie pamiętam. Ale to brytyjskie na pewno jakieś tam. I numery mieliśmy popisane tutaj, wzrost, numer, to, to, śmo i wyposażyli nas w mundury angielskie. W angielskie mundury i był to taki obóz rekonwalescencyjny. Boże, witaminki, jakieś lekkostrawne rzeczy, słodczy. Żeby żołądek mógł właściwie trawić, bo człowiek normalnego życia nie miał. Potrzymani nas w tym obozie rekonwalescencyjnym, a myśleliśmy, że to już wykończą nas tam, cholera, bo nic nie mówili. I w końcu też w nocy alarm, potworzyliśmy się w takie grupy na samochody i przez Iran, Irak, Syrię, Jordanię, Egipt do Palestyny. Do Palestyny przyjechaliśmy, a tam boski raj. Jedzenie, Boże kochany, owoców moc, słodczy w grom, kuchnia wojskowa, żołnierze z tej armii polskiej, która walczyła w Tobruku śmieli się, mówi: „Cholera, jak można tyle żyć”. Mówi: „Ja bym za tydzień tego nie zjadł, co oni za raz potrafią”. Ale trzeba było się odkarmić, cholera. Ale było jedzenie pyszne. Tam nas odżywili, przybraliśmy na wadze, okrzepliśmy się trochę i ćwiczenia. Ja trafiłem do 3. Dywizji Strzelców Karpackich, do Baonu Saperów. Tam miałem w saperach nawet porównanie do piechoty, tam do artylerii czy kawalerii. Tam miałem lżej, bo tam taka praca po prostu trochę inżynierska, cholera, znajomość tych materiałów wybuchowych, różnych, tego, zapoznanie się, Boże kochany. Ciężkie to było, ale chęć, cholera, chęć. Człowiek marzył, żeby jak najprędzej się znaleźć w Europie, żeby bliżej do domu jeszcze tego. Tam przeszedłem tego i potem zrobili ewidencję, kto ma z cywila ukończone przysposobienie wojskowe. I ja miałem drugiego stopnia. To tych wszystkich wyłapali i potworzyli kompanię eskortową jeńców wojennych. Zrobili z nas, z młodych ludzi kompanię. Ona miała gdzieś sto kilkanaście osób. Wyposażyli broń i na okręt eskortujemy z Egiptu, z Port Saidu, pierwszy kurs do południowej Afryki, jak dziś pamiętam, do Durbanu i do Cape Townu jeńców wojennych. A jeńców wojennych było 4 tysiące. A nas kompania 112, ale jeńcy byli na dole, a my na górze. Myśmy mieli już piękne posłania, i mundury mieliśmy, wszystko i jedzenie mieliśmy dobre. Tylko ta służba ciężka była, bo mieliśmy powiedziane tak, że broń Boże, jeśli chociaż jeden jeniec wydobędzie się i zrobi krzywdę komuś czy coś, to koniec opinii o polskim żołnierzu. Ale te wyjścia z dołu to były takie kręte jak świder. Tak że jakby chciał Niemiec stamtąd wyleźć, to na raz więcej nie wyjdzie, jak jeden. To karabinami mieliśmy obstawione te dziury i pilnowaliśmy tych jeńców. A dlaczego zrobili? Powiedział nam jeden kapitan, że inni eskortowali jeńców wojennych z Egiptu, ale Niemcy opanowali statki i zmienili kurs. To myśmy pierwszy kurs robili, dwa tygodnie płynęliśmy, przez Morze Śródziemne nie wolno nam było płynąć, bo tam były obstawione łodzie podwodne niemieckie. bo tam były obstawione łodzie podwodne niemieckie. Tak że statki szły, dookoła Afryki opływały do Anglii. To tam nam zajęło chyba niecały miesiąc. Tak dokładnie nie powiem. Ale dobrze myśmy pełnili tę służbę, dostaliśmy odznaczenie, podziękowanie takie, kocioł mieliśmy bardzo dobry. I każdy Polak mógł sobie z jeńca z Włocha ordynansa zrobić, wziąć. Ja sobie wziąłem taki, on się nazywał Remi Desziderato. Rem Desziderato. Bardzo pracowity, dobry chłopak, ale cieszył się, bo ode mnie dostał tam to słodczy, to tam coś innego mu dałem i tak dalej. Przyjechaliśmy, mieliśmy mieć przerwę na Madagaskarze. Zatrzymaliśmy się tam i pocieszają nas, że tu odpoczniemy trochę, tego, ale komendant wyspy nie przyjął, bo tam panowała jakaś choroba na Madagaskarze i mówi: „Niestety nic z tego”. I płyniemy dalej. Przypłynęliśmy do portu Durban w południowej Afryce. Ja o Afryce to miałem takie

mniemanie, że to murzyni, że to murzyńskie, że to cywilizacyjnie zacofani i tak dalej, ale gdzie, miasto, kurczę, Europa może pozazdrościć Cape Town albo Durban. I mamy tu stać parę ładnych dni. Nie wiem ile, nie pamiętam. Mamy stać w tym. Przyjechali ludzie z tego miasta, dowiedzieli się, że okręt z jeńcami pod polską eskortą i chcą ugościć Polaków. Dowódca nasz zgodził się na to. Ja się dostałem do rodziny, gdzie była wdowa po Polaku z dwiema córkami, po polsku rozmawiały. O Polsce tylko z geografii wiedzieli. Polski nie znali, nie byli w Polsce. Ale obsługę mieli murzyńską, bardzo bogaci byli, bo powręczali nam na do widzenia trochę pieniędzy, tam jeszcze nas obdarowali czymś, ale gościłem właśnie w takiej rodzinie. Opowiadała, że nie wiem, że jej mąż jakoś zginął czy coś, tego, te córki takie już dorosłe, murzyńska obsługa, a murzyni, cholera, pod krawatami, obsługa, tego. Jedzenie i zdziwili się tylko, murzyn aż głosem podniesionym powiedział do tej Polki, że dziwne, bo oni whisky piją, poczęstowała nas wódką, whisky, piją bez wody sodowej, że tego. A ta im powiedziała: „Bo w Polsce taki zwyczaj”. Odwieźli nas samochodami, z powrotem załadowaliśmy się na okręty i jedziemy do Anglii. Przyjechaliśmy do Glasgow, do Szkocji. Tam tych jeńców wyładowaliśmy, tam inni się zajęli jeńcami, a nas rozmieścili do punktów organizacyjnych armii generała Maczka. Powstawała pierwsza pancerna, bo dotychczas była tylko brygada, która walczyła w Polsce, generała Maczka. On jeszcze nie był wtedy generałem w Polsce. Nie wiem, tak słyszałem. Utworzyła się dywizja pancerna. I ja się dowiedziałem... Aha, jeszcze przed tym chciałem się dostać do spadochroniarzy, ale nie udało mi się, bo moje nazwisko doszło do wiadomości takiego starszego człowieka, pułkownika Kardaszewskiego. Kardaszewicz czy Kardaszewski. Mówi: „Mnie to nazwisko coś mówi”. I zażądał, żeby mnie przyprowadzili do niego przy organizacji tej armii. Zawieźli mnie, tego, a on mówi: „A twój ojciec jak się nazywał?”. Ja mówię: „Wacław Juralewicz”. „Aha, a gdzie on służył po wojnie?”, ja mówię: „No, bo ja wiem? Chyba w Wilnie”. „A, no, tak”. Mówi: „Dobrze, to ty będziesz u mnie”. Nie wiem po co, co znaczy u niego. Z powrotem poszedłem tam, a on był dowódcą tworzącego się 8. Batalionu Strzelców 3. Brygady. I mówi: „Miałem ojca, będę miał syna”. O, tak powiedział. A ja nie chciałem, cholera, tam być. Ja stawałem do raportu, że chcę do spadochroniarzy iść. Przeszedłem komisję, wszystko, chcieli mnie wziąć, nie dali, cholera. Zostałem w tym. Zostałem w tym batalionie. I zaraz dowiedzieli się, że ja mam dwa stopnie PW, przysposobienie wojskowe. Na kurs... Na kurs podoficerski. Nie podoficerski, cholera, ale to mam świadectwo jeszcze z tego. Ukończyłem ten kurs i dostałem awans na kaprala. I stamtąd na inwazję Francji. Po przeszkoleniu. Na inwazję Francji. Lądowaliśmy w porcie w Londynie wtedy, kiedy te bomby, te niemieckie bezzałogowe padały na Londyn. To naszą dywizję jeszcze przetransportowali dla podtrzymania ducha ludzi, bo Churchill opowiadał, jak Niemcy straszili tymi bombami, to on powiedział: „A ja mam Polaków”. Tak mocno powiedział. A nam było powiedziane, że my nie możemy być gorsi od najlepszych Anglików. Australijczyk to mówił tak: „Australian soldier is the best in the world”. Australijski żołnierz jest najlepszy na świecie. „Polish is just the same”. A Polak jest taki sam. Oni Anglików nie lubili, Australijczycy. Ale jak Polaka spotkał, to tak się witał, jak z bratem. Boże, zabrali mi beret, dali mi swój czepek, tam tego. Ale byli bardzo serdeczni. Bardzo mili Australijczycy właśnie. I po przeszkoleniu dywizja już okrzepła, była potężnie silna, [niezrozumiale], były pułki pancerne przy każdym batalionie, naszej 3. Brygadzie był przydzielony pułk pancerny. Zapomniałem nazwisko tylko tego naszego, bardzo dobry. Bardzo bojowy chłop. Nawet na zdjęciu tam w książce mam go. I lądowaliśmy w Normandii. Z dnia robili tam, cholera, noc. Artyleria niemiecka, samoloty niemieckie, tego, ale krótko były, bo tam angielskie siły powietrzne odepchały ich i lądowaliśmy. Zaminowane było te wybrzeże, ale takimi buldożerami z łańcuchami i takimi ciężkimi jeździli, tłukli, cholera, te miny wybuchwały spod wody, wszystko, wylądowaliśmy tam. Ja sam kilka samochodów z okrętu sprowadzałem tam zamiast jednego, który nie bardzo się czuł. I tam osiedliśmy przed miastem Caen. Miasto to jest chyba większe od Warszawy. I pierw-

sza próba 1. Dywizji, a miasto Caen, dowieźliśmy się, że przechodziło z rąk do rąk. Anglicy nie mogli opanować. To są przecież Polacy. Pokażcie, chłopcy, co potraficie. Pamiętajcie, a już było po Monte Cassino, my nie możemy być gorsi od Monte Cassino. Oczywiście, żołnierz taki był, cholera, wariat. Mnie to na froncie powiedzieli: „O, ten to dzisiaj dostanie”. Nazwali mnie, jeden... Aj, później powiem może o tym. Ale, no, nie miałem wyboru. Musiałem się ze wszystkim zgadzać. Wylądowaliśmy tam, zorganizowali nas i pierwsze uderzenie było na ten Caen. Caen przestał przechodzić z rąk do rąk. Nie wiem, czy jedna, czy dwie, ale dywizje niemieckie przepadły. Straty były u nas, oczywiście, ale tam Niemcy strasznie dostali w dupę, okropnie. My zadowoleni, cholera, tego, no, chcemy, człowiek głodny tej wojny, cholera, chcemy. Bo liczymy na to, że się szybciej skończy, w Polsce się znajdziemy i tak dalej. I tak dalej, cholera, i nie jeden tam i popłakał sobie. I raptem... Co tu chciałem powiedzieć? Aha. Przylecieli do... Szykowało się wielkie natarcie. Wielka ofensywa na Niemcy. Okropna. Tam nie tylko kanadyjskie dywizje były, amerykańskie, tylko z daleka amerykańskie, my bardzo późno się z nimi spotkali. Główny ciężar na nas był. Ciężko, cholera, sobie przypomnieć. Aha, Amerykanie przylecieli i zbombardowali naszą dywizję, kanadyjskie dwie dywizje, tego, także straty były wielkie. Na ten dzień były wywieszane kolory płócien na otwartym terenie, kolory, na ten dzień był wyznaczony dla lotnictwa, że tu są nasi, że broń Boże tam, żeby jakaś bomba z samolotu nie trafiła w to. I strzelaliśmy raketami o specjalnym kolorze, żeby powstrzymać to bombardowanie. Nie dało rady. Ja się uratowałem przy jednym poruczniku, któremu ułamek bomby ściął głowę. Widziałem jak jeszcze stoi bez głowy. Się przewrócił. Ja wlałem pod czołg. Nie pamiętam, jak ten czołg się nazywał. Tak zbombardowali nasze oddziały, że nie wiem, nie podali do wiadomości strat, ale trzeba było na nowo się organizować, tego i tak dalej, i bez odpoczynku, bez niczego do przodu. Jak do przodu, to ani krok do tyłu. I boje były bardzo ciężkie. Boże, pamiętam tę walkę wręcz te cztery godziny, po których nasz batalion dostał nazwę 8. Batalion Krwawych Koszul. Straszne to było. Ale na szczęście z mojego plutonu, którym dowodziłem, dowodziłem już plutonem, bo porucznik jeden został chyba w tej nawale zginął. Ja dowodziłem tym, ani jeden żołnierz nie zginął. To szczęśliwie wyszliśmy z tej walki wręcz. Cztery godziny. A to była bardzo ciężka, ale zwycięska. I myśmy stale dążyli do walki wręcz. Bo byliśmy pewni zwycięstwa. Niemcy w szermierce byli durnie. Ale jedno powiem, że tyle, co moje oczy widziały trupów Niemców, to nikt nie zdołałby policzyć. Wyobraźcie panowie sobie, że 2. Pułkiem Pancernym, tam pomylili marszrutę, przez linie niemieckie w nocy przechodziliśmy, to z wioski, jak się dowiedział, tam stacjonowali żołnierze niemieccy, nie wiedzieli o tym nic, przepuszczali nas, to jakiś generał niemiecki wyleciał w kalesonach na dwór i uciekł, tak jak przeszliśmy. Ale droga wysłana trupami tak była, że buldożer musiał jechać i tak jak pługiem trupy na bok zwałać. Tak było. Takie obrazy cholerne były. Także w sumie w walkach nasza dywizja, żołnierz był od Niemców bardziej zajadły. Niemcy bali się nas. Esesmani okropnie się bali, ale mieliśmy rozkaz bez broni, nie robić krzywdy żołnierzowi. Brać do niewoli. Do niewoli, do niewoli i do niewoli cały czas. W sumie dywizja przez cały przemarsz do Wilhelmshaven, to tam jak piszą, to około 50 tysięcy Niemców wzięli do niewoli, a dywizja sama liczyła 16 tysięcy tam z hakiem. Także ciężko było. Ale musieliśmy być lepsi. Trudno. Niewyspani, snu było brak. Okropnie było snu brak. Bo nieraz... Ja dostałem się do odvodu, powiem tak, do odvodu, myślałem, że przenocuję, cholera, prześpię się, było nas tam czterech pod takim drzewem i słyszymy rano o świcie strzały. Cholera, skąd te strzały? Z drzewa snajper niemiecki strzelał do żołnierzy. On tam dużo nie mógł zrobić, bo to była duża odległość i tak dalej. I wymacaliśmy, że tam u góry jest snajper. To cholera, ja mówię: „Trzeba tam serię puścić”. Ja tam oparłem łokieć o to drzewo, a co trzeci pocisk miałem świetlny. I puściłem serię tam do góry, bo oni byli zamaskowani, ci strzelcy honorowi. I nie widzę go, cholera. Ale coś tam musiało być. Poruszył się. No, to nie gałąź, cholera. Jeszcze puściłem serię. To on rzucił granata. Jak upadł, to myśmy

zdali z tego sprawę i na bok, i ten granat wybuchł, a szczęście, że przy samym pniu i nam nic nie zrobił. Ale już myśmy go ściągnęli tego strzelca honorowego. I list miał pisany do jakiegoś tam miasta do Niemiec, i napisał, że już od pewnego czasu walczy z czarnymi diabłami polskimi. Bo nas po tych naramiennikach niemieccy żołnierze nazywali czarne diabły. Tak że w sumie dywizja to tam wielkie usługi zrobiła, ale już końcowe fazy to były bardzo ciężkie, ale spotkała się dywizja z oddziałami amerykańskimi. Też tam na zdjęciu są. To już było źzej. Było źzej. I tak trochę w nieładzie, ale na pytania jakieś, to odpowiem panu.

### **Później pan do Anglii trafił, prawda?**

**Piotr Juralewicz:** Tak. Jakby mógł pan jeszcze opowiedzieć... Mnie samolotem przerwucili do Anglii, do szpitala, do Walsall. Walsall koło Birmingham. Było ciężko ze mną, ale w Polsce to by mi rękę ucięli i wszystko, a tam jakoś wyratowali.

### **Ale gdzie pan był ranny?**

**Piotr Juralewicz:** Byłem podrapany. O, tu nie mam tej kostki, tu w tym, tu mam sztywno, a ten nieżywy. I mam taką bezwładną. Ja nie jestem tak sprawny z tą ręką.

### **A był pan ranny we Francji, tak?**

**Piotr Juralewicz:** W czasie wojny. Tak. We Francji.

### **I trafił pan do szpitala do...**

**Piotr Juralewicz:** Do Anglii. Samolotem przerwucili mnie. I co się potem z panem działo? Łączność z dywizją miałem. Chciałem szybko wyjść, cholera, ze szpitala, ale tam nas leżało na oddziale ponad 200, różnych narodowości. Polaków było tam, bo ja wiem, może było z 50. I co ładnie zrobili Anglicy? Dla rannego z frontu specjalny mundur. Niebieskie spodnie, niebieska marynarka, biała koszula. Napis na plecach jakiś był. Diabli wiedzą. I ze szpitala, kto mógł chodzić, to ja na temblaku wychodziłem. To jak wyszedłem, to ludzie do temblaku pchali pieniądze, cholera, i tego, i firmy przyjeżdżali, zabierali na gościnę Polaków ze szpitala. Mną się opiekowała jakaś rodzina takich starszych panów. Mieli córkę jedną, to ona mnie zabierała na taką rozrywkę jakąś, do teatru czy na lodowisko popatrzeć. Opieka była wspiana. I operacja. Bo chcieli mi uciąć rękę, dłoń. Ale ja powiedziałem, że nie wyrażam zgody. To mi doktor powiedział: „To jak zajdzie potrzeba, to jeżeli trzeba będzie po łokieć podciąć, to nie będą pytali mnie o zgodę”. Ja mówię: „To niech tak będzie, ale nie dam”. Profesor Jurasz, wybitny lekarz, Polak, pracował w Edynburgu w polskim szpitalu. Ten szpital słynął tam, i Anglia, i Szwecja, i Norwegia wszystko wiedziało o nim. I stamtąd ludzie przyjeżdżali do niego na leczenie, a on objeżdżał szpitale wojenne angielskie, Wypatrując, gdzie Polacy leżą. Ja tak leżę sobie, odpoczywam trochę po takiej kąpieli, pielęgniarka mnie wykąpała. I patrzę, jakiś pan podszedł, cywil, wziął kartę moją, przeczytał, uśmiechnął się, podszedł do mnie, poklepał po ramieniu, mówi: „Dobrze zrobiłeś – ogląda się – będziesz miał rękę”. Bo tam napisali, że tego. To mnie brali do takiej ciemnej komory, do jakiejś mazi wsadza-

łem rękę, naświetlania różne miałem, tego. I ręka zaczęła się poprawiać. A to był, cholera, sierpień. To najpierw trafiłem do szpitala polowego. To mnie tam pierwsze te opatrunki porobili. Potem samolotem do Anglii, lądowaliśmy, zabierali nas z lotniska. Tam opieka lekarska była, Boże, nad podziw dobra. Przepiękna. Ja nie wiem, jak z niemowlakami z nami się obchodzili. Jedzenie, wszystko było pierwsze. Na medal. I cywile nas odwiedzali, zapraszali nas do jakiejś firmy. Każdego z tych zaproszonych, ja z takim jednym Anglikiem, ja lewą ręką, a on miał prawą. Ja byłem poszarpany jeszcze tam tego, to przyjeżdżali i mówi: „Gdzie są te twins? Wanted soldiers twins. English and Polish”. Zabierali nas tam do tego. Miałem bardzo dobrze, cholera. I zakwalifikowano mnie potem na komisję jako inwalida wojenny. Przywieźli nas nad Kanał La Manche do miasta Torquay. Tam bardzo drogie turystyczne miasto. Tam, cholera, bambusy rosły, palmy, tego. Do takiego pałacyku. Jedzenie prima, zajęcia różne takie ciekawe. W tym byłem. Ale starałem się do Szkocji wrócić do żony. Bo żona w tym czasie była w szpitalu. I wyrwałem się tam z tego. Trafiłem do tej Szkocji, tam do takiego samego domu. Obsługa była angielska. Jak gdzieś chciało się wyjść na dwór czy coś, to tylko z opieką kobiecą, żołnierską angielską można było wyjść. Samych nie puszczali tych rannych żołnierzy z frontu. Mimo, że chodził, prawda, że rozmawiał i tego. I potem im się wymknąłem na ryzyko, także mnie szukali w transporcie. Uciekłem po prostu do szpitala do Edynburga. Tam żona leżała. I dotarłem do tego szpitala do żony. Tam urodził mi się najstarszy syn i przy porodzie zmarł. Pępowina mu się okręciła, jak powiedzieli, na szyi i dziecko zmarło. Boże, żona w rozpacz, ja w rozpacz, a żona jeszcze się tego. Mnie stamtąd zakapturzyli na autobus i przywieźli z powrotem tam do tego, do szpitala. I stamtąd zgłosiłem się na ochotnika do obozu repatriacyjnego, na powrót do Polski. A dlaczego? Ja bym nie wrócił. Bo po wyjściu ze szpitala byłem na rekonwalescencji, byłem już taki samoistny i oni utworzyli takie, z tych żołnierzy byłych z 2. Korpusu i z 1. Pancernejskiej, takie korpusy robocze. Prace dawali, wszystko. Mnie dali pracę, samochód do dyspozycji z szoferem. Jeździłem z budowy na budowę, tłumaczyłem Polakom, co mają robić. Roboty jakieś, bo byłem... najlepiej opanowany miałem język angielski. Tak mnie wyparował już, ale jeszcze się porozumiem. I żona dostała list z Łomży, bo myśmy z Polską korespondowali. Z Łomży, że jej matka wróciła z siostrą z Syberii. I napisali, że tam listy szły przez wielką cenzurę, ale ten list jakoś przeszedł i przyszedł dobrze odziany, bo matka wróciła w spodniach watawych i w kufajce watawej. Bez bielizny. Jej matka z Syberii. I z jej siostrą, z mojej żony siostrą, bo ich mąż, mój teść, ten mąż tej Krzemińskiej, Krzemiński, został rozstrzelany w Katyniu. To one wróciły później, żona mówi: „Niech się dzieje, co chce, wracamy do Polski”. Ja mówię: „Słuchaj, są wiadomości, że tacy jak my nie są tam pożądanymi, że są niemile widziani, że jest im tam ciężko, że kto wie, na co...” „Coś ty, nam się nic nie stanie”. I wróciliśmy. Wróciliśmy. Panie, i prześladowanie UB, nie dało, cholera, ratował mnie taki kierownik Spółem, przyjął mnie do pracy, Warszawiak. Jak on się nazywał, nie pamiętam już. On mnie ratował, trochę bronił przed UB, przed tego i w końcu przyszedł rozkaz, żeby tych z Zachodu przyjąć do kombatantów. Przyjęli do kombatantów, ale UB jeszcze mimo to prześladowało. Nie dawali. Mnie powierzyli raz prowadzić spółdzielców, bo trzeba było zakłady pracy pod jakimkolwiek dowództwem prowadzić na 1 maja na jakieś święto komunistyczne czy coś. To kazali mnie prowadzić. I ja przed trybuną zdjęłem kapelusz i mówię: „Defilada w prawo!”, krzyknąłem. Okazało się, że z tych przechodzących wszystkich, tylko ja jeden dałem taki rozkaz „Defilada w prawo”. „Co to za jeden? A, to ten. To z armii zachodniej”. I wróciliśmy do tej Polski. Boże kochany.

## **A gdzie pan osiedlił się w Polsce po powrocie?**

**Piotr Juralewicz:** W Elblągu. Na moich oczach zabili, zastrzelił ubowiec Polaka w mundurze. Nie wiem, czy to był

z 2. Korpusu, czy z 1. Pancernej. Na ulicy Długiej w Elblągu. Ja, cholera, nie miałem jeszcze... Miałem tylko te faszowane cywilne ubranie, ale różniło się mocno od otoczenia. Bałem się, że... Bo tam jak jakiś młody trafił, to oni na ulicy legutowali, kto ty jesteś. Dali mi zaświadczenia z urzędu repatriacyjnego i tam stempel, że otrzymał taką sumę pomocy i pieczętka. To tylko pieczętka była i to napisane. Ja nie dostałem nic. Ale kilka razy tak oni te pieniądze zabierali. W końcu... Ładowaliśmy w Sopocie. Samochodem nas... Mnie dowieźli samochodem do Elbląga. Bo, gdzie, kto chciał, tam dowozili do Elbląga, bo tam żony ciotka była z Warszawy, przyjechała. Ciotka, jej mąż i jej siostra. To myśmy przyjechali do Elbląga i w Elblągu nie mogę dostać pracy. Napisałem rozpaczliwy list, bo zacząłem łachy sprzedawać. Mieliśmy z żoną bagaż obsyty wełnianymi białymi kocami, żeby potem rozpruć te i koce mieć do użytku. To musieliśmy te koce prasować, sprzedawać, żeby mieć za co żyć, bo tej rodziny nie można było obciążać. To w końcu napisałem do brata rozpaczliwy list, a z bratem się umówiłem tak w Anglii: „Ja ci dam znać, czy możesz śmiało wrócić do Polski. Wiesz, bo to jest bardzo ważne. Bo różne słuchy dochodzą”. I umówiłem się z nim, że napiszę do niego po litewsku. I wróciliśmy do Polski. Byliśmy tam prześladowani. Trudno było z pracą, z życiem, to ja mu napisałem w liście, bo listy były kontrolowane i nie daj Boże ktoś nie tak napisał, już UB zwinęło. I ja mu napisałem. I on został. Oni wiedzieli, że ja mam brata w Anglii. Ten, co był w 2. Korpusie, w 6. Batalionie Dzieci Lwowskich w Pancernym. A ja opowiadałem, że brat wróci, że czekam na brata. Czekam na brata. To oni czekali, że może brat przyjedzie, to oni z nami załatwią wtedy. Tak było. I napisałem rozpaczliwy list. A on mi przysłał adres na Elbląg o Biskupcu. Że w Społem pracuje taka i taka, jego koleżanka, z którą nawiązał kontakt. Ta... Ty wiesz, jak ona się... Jurgiel nazywała. Jurgielowa. To ja z Elbląga przyjechałem do Biskupca, ale nie przez Czerwonkę, bo tam most zerwany był na tej rzece. Trzeba było dookoła przez Szczytno jechać. Przyjechałem tu, spotkałem się z tą Jurgiel. Ona miała mieszkanie wielkie i powiedziałem, że chciałbym uciec z Elbląga, bo tam niebezpiecznie jest. Ja mówię: „Ja się nie boję, ale mam żonę, dzieci, to nie bardzo”. To ona mówi: „To przyjeżdżaj tu do mnie, u mnie zamieszkas, dopóki się coś nie znajdzie”. Ja przyjechałem do niej, zamieszkałem u niej, bo ona w trzech pokojach, kuchnię, przedpokój, mieszkała sama. I kierownik Rudnicki Społem, patriota niesamowity. On mnie pouczał, gadał i tak dalej, mówi: „Wiesz co, kochany, ja ci wszystko zrobię, żeby cię uratować, ale w twojej sprawie wzywają mnie. Wzywają mnie i ja muszę się tłumaczyć. Muszę wybielać siebie i tak dalej. Zapisz się do PPS-u”. Ja mówię: „A co to jest? Z czym to się je?”. Mówi: „Tam się dowiesz – mówi – ja ci dam dwóch członków wprowadzających”. A to była Polska Partia ta... Socjalistyczna. Socjalistyczna. Tak. To było tych robotników. Ja nie wiem, jaka to była. Tak. Zapisalem się tam. I mówi: „Teraz będziesz miał spokój”. I on mnie bronił. Potem się połączyły i zrobił się PZPR. No, już wtedy, cholera, to mnie wykorzystywali, ile tylko można. Boże, to jeżdżenie, załatwianie, cholera. Masę w pracy, w tego. Ale nie byłem pewny jeszcze. I doszli do wniosku: „Wyrzucić z partii andersowca”. Ja mówię: „No, mylicie się. Ja u Andersa byłem bardzo krótki, tylko w 2. Korpusie tam w Palestynie. Ja od Maczka generała pochodzę” i tak dalej. „Dobra, nie pouczajcie nas”, mówili. I ta partia mnie, ta PPS, broniła. Ale nic... Ona nie miała głosu. Ona nie miała głosu. Oni się rządzą. Ciężko było. Ale jakoś dzięki Bogu przetrwałem, dzięki opatrności przetrzymałem to wszystko. Najgorszy to był, powiem... Najgorsze były bitwy. Co tam dużo gadać. Jak nie ja jego, to on mnie. Takie prawo wojny. Jak nie ja jego, to tego. Ale tam jak mnie się ktoś zapytał, ile, jak, czy zabiłem Niemca, czy coś, to tylko raz się wypowiedziałem w zdenerwowaniu, że jak zostałem ranny i nie mogłem lewą ręką zawleczyć z granatu wyciągnąć, to zębami wyciągnąłem, a miałem pierwsze miejsce w batalionie w odległości rzutu granatem bojowym. I tak wycelowałem, że obsługa niemiecka, widziałem spod hełmu, bo jak granat eksplodował, to różnie te odłamki leciały. Jak wdziałem spod hełmu, jak Niemiec złapał za granat, chciał odrzucić, ale nie dał rady już. Wybuchł. I cała załoga poszła, tylko jeden z nich już nie nosem, tylko tym oddychał tutaj.

To całą załogę wybiłem karabinu maszynowego niemieckiego. I drugie, cholera, żałuję, że Jezierskiej powiedziałem, że z ciekawości wypróbowałem, karabin angielski wszedł na front, tak zwany „pajrot”, wyrzucany sprężyną z nie-dalekiej odległości, ale bardzo skuteczny na zagładę czołgu. Bo jak ten pocisk trafił w czołg, to już tam w środku nie mieli ratunku. On tam musiał do środka się dostać przez ogień, przez spawanie, diabli wiedzą co, skład chemiczny nie był nam nawet znany tego „pajrota” i ten czołg Mark 4 „pajrotem” był. A co dalej było, to nikomu nigdy nic nie powiedziałem. Jak mnie ktoś zapytał, ile ja Niemców zabiłem, to powiedziałem: „Póki żyję, nikomu nic nie powiem”.